

WIECZORY RODZINNE

Niefortunny
palacz.



Cygara, zapomniane w dziadunia komodzie,
Tadzio, co wszędzie szpera znajduje na spodzie.
A to gratka! Dawno palić mu się chciało!
— Spróbuję tych cygar, szkoda, że ich mało! —
Więc z miną baszy na fotelu siadłszy,
Puszcza dym kłębami, to gęstszy to rzadszy.
Lecz błędnie po chwili i już się nie śmieje,
— Oh! oh! pfe! pfe! — woła — co się ze mną dzieje!
Ratunku! umieram! — Na nic te wołania,
Tadzio powstać nie może, w fotelu się słania.
Napróżno się krztusi, kręci się i szasta,
Pojechał do „znanego portowego miasta“...



Trzy ptaszki.

B a j k a.

Pięknego lipcowego poranku obudziły się w gniazdku trzy ptaszki. Otrząsły się z chłodnej rosy, dzióbkami wilgotne piórka przymuskały i zapytały się: „Co dzisiaj robić będziemy?”

— Oh, ja polecę daleko, daleko! — zaświergotał brat starszy — przykrzy mi się być ciągle na uwięzi, nigdy nie wyrzeć poza ten sad ks. proboszcza, w którym gnieźdzymy się w czerwemszynie, nigdy świata szerzej nie oglądać, jak ze szczytu wieży kościelnej, z której jeszcze wypłaszają nas huczące nad nami dzwony. Mnie, kiedy widzę, jak słońce zapada, tam za wzgórze, a w końcu jeszcze czerwieni wierzchołki sosen, w onym, het, czarnym borze, to tak aż ciągnie, aby lecieć za słońcem — tam na te sosny czerwone. Już nie wytrzymam dłużej: dziś polecę! a kiedy będę tam na szczycie najwyższej płonącej sosny, wiem, że z niego zobaczę nowe wzgórze i nowe na nich wierzchołki drzew, ozłoczone promieniami słońca i polecę znowu do jego blasku, na nieznane bory i łąny, skąd znów otworzy mi się świat nowy. I tak dalej, dalej, bez wytchnienia, bez wypoczynku lecieć będę w coraz to nową, szerszą dal, aż cały świat oblecę dookoła i poznam wszystko, czego stąd widzieć nie mogę!

— A nie zatęsknisz za gniazdkiem, za nami, braciszku? — zaczął smutno młodszy brat.

— Nie stanie mi czasu na tęsknotę: nie wrócę się z drogi, wstecz nie obejrzę się ani razu, bo ledwie mi starczy mocy w skrzydłach, aby mnie niosły wciąż dalej i siły we wzroku, aby wciąż patrzeć przed siebie, na coraz nowe cuda. Aż kiedy wszystko obejrzę i oblecę, wrócę tu, do was, opowiadać wam, jak świat jest pięknym.

— Ja tam nie pragnę nowych wrażeń i nie ciekawym krain dalekich — szczebiotał wesoło najmłodszy z braci, leniwo i rozkosznie przeciągając skrzydełka — mnie wszędzie miło, aby mi dobrze było! Zbyt słaby też jestem do trudów podróży i lotu, ale jednego dziś przecie dokonać muszę: oto, zdobyć sobie lepsze i smaczniejsze kąski nad te, które codzien nas żywią. Sprzykrzyło mi się dzień cały uganiać tu za marnem ziarneczką, za rosy kroplą, za muszką, albo za nędznym chrząszczykiem, kiedy wiem, że można sobie żyć bez trudu i mieć jedzenia zawsze pełne korytko—takie małe, dla ptaszka zrobione korytko i kryształową czarę, pełną napoju. Słyszałem wczoraj—mówił mi o tem szpak bardzo mądry i dowcipny, mój znajomy, że właśnie do białego

dworu, który stąd widać za drogą, przyjechały przed paru dniami ludzkie dzieci, wypuszczone z miasta na wakacje. Starzy ludzie tam już i pierwsi byli w tym dworze, ale o swojej tylko robocie myśleli, a o ptaszkach pamiętali mało, dopiero te ich dzieci zawiesiły dla nas słiczną spiżarkę na drzewie w ogrodzie, pełną słodyczy i przysmaków, że można wbród wszystkiego używać, co dusza rada! Otóż, ja tam dzisiaj polecę, choć i ta droga może zmęczy moje skrzydełka, ale zato będę tam już potem dzień cały rozkoszował się bez dalszej męki: wszystkiego pokosztuję, wszystko posmakuję, aż gdy z trudu tego spocznę, tu do was może wrócę, drogę wskażę i was tam poczęstuję.

— Oj, braciszku! a czy ci nie dość stawy, którą nam dotąd ręka Boża sypała?—zaćwierkał jeszcze smutniej średni brat.

— Ja chcę żyć bez pracy, ja chcę smaczniej jeść i pić! ja chcę używać — swiergotał mały pieszczoszek.

— A czyż wam obu nie żal będzie starego gniazda naszego, co was wygrzało, tuliło tak serdecznie — czyż wam nie żal tego letniego powiewu, który odkąd siebie niemowlętami pamiętami, co dzień o tej samej przedwieczornej porze, przynosił nam tu z łąk zapach macierzanki i smółki? Nie żal wam chłodu zielonej gęstwiny, tak miłego w skwarne południe?

— Mnie ciasno w gnieździe, ciemno w gęstwinie! ja chcę swobody i lotu!

— Mnie wyżyć trudno: ja chcę korytka, pełnego srebrnego siemienia i kryształowej czarki z źródlaną wodą!

— Ja zaś zostanę tutaj, na gnieździe, które ojcowie nasi jeszcze zbudowali i przez dzień cały znosić będę żdziebełka i słomki, zbierać puszek i piórka z wiatrem lecające, aby to kochane gniazdko nasze umocnić, wyścielić i naprawić, bo oto patrzcie, jak czas i burze obszarpały je i nadwąpiły. Patrzcie! nawet dziury na wskroś przeświecają w gniazdeczku; pomóżcie mi ratować je, bracia!

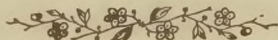
— Ja znam dobrze dziury starego gniazda i wiem, że to próżna strata czasu nad nim się mozolić; jeżeli domu zapragnę, zbuduję sobie nowy, gdzieś na wyżynach — dzwonił donośnie śpiew starszego brata.

— Ja zbyt wątpy jestem do pracy; siły moje na nicby się tu nie zdały, nie potrafiłbym naprawić złego — brzmiała przytłumiona pieśń najmłodszego ptaszka.

— A wróćcież przynajmniej, bracia moi? czekać was będę i spodziewać się zawsze — wróćcie! wróćcie! wróćcie do brata!... ćwierkał wciąż średni żałośnie.

(c. d. n.)

M. Z.



KAZIMIERZ IV JAGIEŁOŃCZYK.

(Ur. 1427, um. 1492)

Kazimierz po bracie na tron wezwany,
Nie radby rzucić Litwy kochanej,
Gdzie słodko pędził wiek młody.
Gdzie tyle swoich książąt przy boku,
Tyle puszcz miłych myśliwych oku,
Gdzie codzień łowy i gody.
A tu król polski w świątyni Bożej
Razem z koroną na czoło włoży
Troskę, co w dumach się waży:
Z statutu księgą, z szczerbca żelazem,
Mędrzec i rycerz stać musi razem,
Matce ojczyźnie na straży.
Lecz za to Polski wesoła niwa,
Złotych się kłosów plonem okrywa,
Zielone szumią ogrody,
Za pługiem kmiecia płynie piosenka,
Chłopię przez szklane szybki okienka
Patrzy na dworce i grody.
A tam na ścianach miecz wisi stary,
W komnatach srebrne lśnią się puhary,
I drogich opon makaty.
Kapłan nad księgą, rycerze we zbroi,
Niewiasta wdzięczną sztuką się stroi
W lśniących jedwabiów bławaty.
Bo Polska mądrym prawem się rządzi,
Dzielnie wojuje, roztropnie sądzi,
Po Bożej myśli zakonie.
Więc się też ku niej garnie kto może,
I oderwane niegdyś Pomorze,
Znowu wyciąga doń dłonie.
Lecz Krzyżak dobrze łupów swych strzeże,
I ledwie Kaźmierz trón polski bierze
Już krwawa wojna go czeka.

Przez lat dwanaście trwał bój zawzięty,
Padały męże jak łąs podcięty,
I krwi wylała się rzeka.
Nareszcie Polak, jak dziedzic prawy,
Odebrał stare Lechów dzierżawy,
Gdańsk i Warmijskie wybrzeża;
I Krzyżak złaman walki setnemi,
Hołdownik z reszty trzymanej ziemi
Ukląkł przy tronie Kaźmierza,
A chociaż jeszcze Litwy niezgody,
Truły królowi chwile pogody,
W domu mu rośnie pociecha.
Bo siedem córek i sześciu synów,
Wszystko do zacnych chowane czynów,
Sercu się ojca uśmiecha.
I w kraju coraz większy dostatek:
Wojna nie bierze synów od matek,
Kłós niw nie wali się marnie.
A z białych dworów i zamków pańskich,
Wieśniaczych chatek, siedzib mieszczańskich,
Młodzież do szkoły się garnie.
To też gdy naród gromadził stany,
Między rycerze i radne pany
Wchodził nie jeden syn kmieci.
I nikt się nie śmiał pytać zasługi:
Żali jest przed nią przodków rząd długi,
I czy jej ojca herb świeci! . . .

M. I.

Bronisława Włodkówna.

Dzieciństwo Julci.

(C. d.)

- Eh, Bronciu, czyś ty małe dziecko, żebyś takie rzeczy mówiła? Czyż chrapaszczce mogą zwiedzać jeziora?
— Dlaczegożby nie? Stryjenka jeździła w tym roku tak da-

leko, aż do Szwajcaryi, aby zwiedzić jeziora i mówiła, że są liczne, więc czemużby chrabąszcze nie miały zwiedzać tych jezior? One też pewnie lubią ładne rzeczy.

Niunia wzruszyła ramionami i zapytała:

— Czy ty, Brońciu, mówisz tak naprawdę, czy tylko na żarty?

— Naprawdę, przecież to tak słicznie, kiedy się myśli, że wszystkie zwierzęta, ptaki, owady, żyją tak samo, jak ludzie: uczą się, bawią, czasem się kłóca, podróżują, kochają się między sobą albo nie lubią. Wczoraj widziałam takiego chrabąszcza, którego nikt nie lubi w jego rodzinie, chodził po liściu kasztana, zaglądał pod każdy jego płatek, ruszał mackami chrabąszcze które tam siedziały, a one wszystkie się od niego odwracały, więc się zmartwił, poszedł na inny liść i tam siedział w kąciку przv łodyżce tak długo, aż nie chciało mi się czekać co dalej będzie i poszłam do domu.

Brońcia opowiadała to wszystko z taką powagą, że Niunia ani przez myśl nie przeszło wątpić o prawdzie jej słów, słuchała uważnie, wreszcie zapytała:

— A czy on płakał?

Brońcia zmarszczyła czoło, ściągnęła usta i zamysliła się, chcąc sobie przypomnieć, czy chrabąszcz płakał.

— Nie, wiesz, nie płakał, napewno nie płakał, przecieżbym zauważyła, ale to dziwne.

Znowu pomyślała chwilę i zawołała radośnie:

— Ach, już wiem! Naturalnie nie mógł płakać, bo to był pan.

— Jaki pan?

— No, pan chrabąszcz, nie chrabąszczowa, a panowie przecież nigdy nie płaczą. Powiedz sama, czy widziałaś, żeby twój tatuś płakał?

Niunia oburzyła się.

— Nigdy! mama, to co innego.

— No, tak, mama naturalnie, kobiety czasem płaczą, ja także płaczę, jak mnie co boli.

W tej chwili na ganku stanęła panna Marja z Ircią i Gućciem.

— Józiu, Brońciu, Niuniu, chodźcie, pójdziemy na spacer do lasu, zobaczyć czy burza wyrządziła duże szkody.

— Zosia też! Zosia też!—wołała najmłodsza, wyciągając nóżki z błota.

— Nie, Zosia zostanie z babcią, dla Zosi zadaleko do lasu, nóżki by ją zabolowały.

Zosia w płacz, babci żal się jej zrobiło.

— Cicho, Zosienko, cicho, pójdiesz i ty, babka zawiezie cię bryczką.

— Ależ, babko, nie można, babka nie zaciągnie bryczki tak daleko i to jeszcze po błocie—perswadowała panna Marja.

— Zaciągnę. Czy to ja taka niedołęga?

I nie słuchając dalszych perswazyi, wyciągnęła z sieni koszykowy wózek, bardzo już zniszczony, w którym sypiały za niemowlęcych czasów wszystkie dzieci państwa Włodkowskich, ułożyła w niem sienniczek w czerwone pasy i usadziła uradowaną Zosię. Niebardzo się to podobało pannie Marji, ale już nic nie mówiła, wiedząc, że babka, jak się uprze, to zawsze na swoim postawi.

Gdy przez wieś, omijają kałuże, które zajęły całą prawie szerokość drogi, Józia, Broncia i Niunia trzymają się za ręce i biegną naprzód, chlupiąc bosemi stopami po wilgotnej ziemi, panna Marja ze starszemi dziećmi za niemi, a babcia sapie, dyszy, ale wózek pcha. Zosia rozsiadła się wygodnie, jak hrabina, rada, że ją wiozą. Trudna sprawa z wózkiem, bo to na wysokich kółkach, chybliwy, a co chwila trzeba zjeżdżać ze środka drogi przed kałużami i przeciskać się pod płótem pochyłą ścieżką. Ujechała babka już z pół wsi z wielką biedą, aż tu kałuża większa od poprzednich, ścieżka wąziutka, wyślizgana od błota, nie to, babka wózek wpycha, naraz fik! bęc! wózek leży, babka pod nim, sienniczek aż na drugiej stronie drogi, a Zosia w samym środku kałuży.

Krzyk! płacz! nadbiegła panna Marja, podniosła, gramolącą się z pod bryczki babcię, wyciągnęła z błota dziecko umazane, jak nieboskie stworzenie. Gucio postawił wózek, Ircia przyniosła sienniczek, ogarnęli wszystko jako tako, wsadzili Zosię i marsz, babciu z powrotem do domu.

Wróciły ze wstydem i ta stuletnia i ta trzyletnia, już nawet nic nie mówiły na swoją obronę, takie były zafrasowane, tylko cichaczem przemknęły się do dzieciennego pokoju i tam nastąpiło mycie od stóp do głów i zmienianie odzienia.

Panna Marja z dziećmi doszła tymczasem do lasu. Ten śliczny las, w którym dzieci znajdowały zwykle tyle pięknych i ciekawych rzeczy, wyglądał teraz rozpaczliwie, huragan i tu szalał widocznie z niemniejszą niż we wsi mocą. Na wstępie wysmukła sosna, wyszarpana z korzeniami, zawałala drogę w poprzek, jej rosochate konary wyciągnęły się ku niebu jakby w niemej skardze. Dalej cały stos pogruchotanych gałęzi zaścielał małą polankę, nurzając się w szeroko rozlanej kałuży, w której, niby we zwierciadle przeglądało się promieniste słońce, jakgdyby chciało rozjaśnić smutny widok zniszczenia.

c. d. n.

Zadania i łamigłówek.

Szarada.

uł. Żabka.

Chociaż wszystko w nauk rządzie,
Czwarte z piątem i na grzędzie
 Napotkać można w ogrodzie,
 I *trzecie z czwartem* o chłodzie,
 Często w użyciu tam bywa.
Drugie z piątem zwykle skrywa,
 Co się w *drugim pierwszym* mieści,
Trzeci z pierwszym, tej jest treści,
 Że dlań każdy do starości
 Niesie w sercu hold miłości.

ułożyć w 16 kratkach, aby w obu kierunkach odczytać jedno i te same wyrazy. 1. Rzeka w Królestwie Polskiem. 2. Kraj w Azji. 3. Przedmioty otrzymane bezpłatnie. 4. Roślina ogrodowa.

Zagadka.

Czytaj mnie *wprost*, czy *wspak* nie zmie-
 [niam znaczenia,
 Rosnę wśród pól, ogrodów, służę do je-
 [dzenia.

Poezya i proza.

Już dżdżysta jesień! Liść z drzewa spada, nie śpiewa ptaszek w nagich gałęziach, pod stopą liście zwarzone szronem, jak marnie stracone dni młodości, suche, bezbarwne, wiotkie a kruche, po ciemnym lesie niesie wiatr płochy. A drzewa! drzewa podobne ludziom, zmokłe, bezlistne, załobne jakieś; czarne konary w niebiosą wznoszą, jak człek co wraca na drogę wiary. Bocianie gniazdo, brona zębata na wierchu drzewa osamotniona. Chłodno i nago, i nie już niema, pogoda mroźna, zima nadchodzi.

Ułożyć z tej prozy 14 wierszy rymowych i 10 zgłoskowych.

Łamigłówka w kwadraciku.

uł. Osa z nad Wisły.

4 a,—2 d,—2 i,—2 n,—2 r,—2 y,—1 z—

Rozwiązanie do № 34-go.

Szarady: Ba-to-ry.

Arytmogryfu:

1. Sachalin. 2. Erytrea. 3. Bagdad. 4. Arkanzas. 5. Sęp. 6. Toledo. 7. Jerycho. 8. Abukir. 9. Niagara. 10. Kongo. 11. Lizbona. 12. Orinoko. 13. Naxos. 14. Osa. 15. Warna. 16. Illimani. 17. Cyrus. 18. Zamość.

Sebastjan Klonowicz.

Zagadki: Zanek.

